Cena 30 groszy. Opłata pocztowa uiszczona gotówką

ZACZYN

TYGODNIK

Nr. 36 (41). Warszawa, czwartek dnia 9 września 1937 r. Rok II.

SPRAWA ORDYNACJI WYBORCZEJ

(pierwsze elementy dyskusyjne)

Nie wahaliśmy się wypowiedzieć poglądu, że ordynacja wyborcza nie zdołała zdać egzaminu ani w obecnej rzeczywistości ani w opinii polskiej.

Nie kwestionuje to głębokiego uzasadnienia dla szeregu tych ustrojowych zastrzeżeń, którymi kierowali się twórcy nowej ordynacji. Słusznie bowiem nowa ordynacja miała być jaskrawym przeciwstawieniem tej dawnej z 28 lipca 1922, która była najfatalniejszym pod słońcem zastosowaniem wszystkich możliwie szerokich ram wyborczych całego świata. Dawna bowiem ordynacja 5-przymiotnikowa polska była niewątpliwie pod każdym względem tą przeszarżowaną próbą tak szerokich ram wyborczych, jakich nie posiada żaden kraj, nawet najbardziej demokratyczny, bo Francja nie ma po dziś dzień ani powszechności, jak głosowania kobiet, ani proporcjonalności, a Anglia wśród innych cech nie uznaje proporcjonalności. Oczywiście dawna ordynacja polska była wyrazem tego samego fatalnego ducha, który zrodził konstytucję marcową, ducha, który sobie wyobrażał naiwnie, że rządzić można frazesem i hasłem, przy czym praktycznie przy każdym poczynaniu chodziło o oto, by zarówno uniemożliwić pracę geniuszowi Marszałka Piłsudskiego, jak utrudnić współpracę jednostkom, zdającym sobie sprawę z tych arcyciężkich obowiązków wobec państwa, które stanęły jako naczelny nakaz przed Odrodzoną Polską.

Najbezwzględniejsza jednak krytyka dawnej ordynacji polskiej nie może jeszcze sama przez się stanowić aprobaty obecnej, czy też być wyrazem stanowiska, że nowa ordynacja wyborcza, usunąwszy błędy starej, dała ze swej strony tego rodzaju schemat wyborczy, który spełnia zadania, wypływające z ducha i nakazów nowej Konstytucji.

Nowa Konstytucja, dzieło, na którym figuruje nie tylko formalnie, ale i rzeczowo podpis Marszałka Piłsudskiego, przy całym rozbudowaniu kompetencji Pana Prezydenta nie neguje kontroli ze strony społeczeństwa, nie zawiera myśli antyparlamentarnej, jakkolwiek jest oczywiście historycznym wyrazem potępienia sejmowładztwa. Zachodzi jednak pytanie, czy z poprzedniej krańcowości nie przesunęliśmy się w sytuacji obecnej wbrew zresztą intencjom i nadziejom inicjatorów tej nowej ordynacji do drugiego ekstremu. Czy w miejsce systemu wyborczego, od którego uzależnione było wszystko w państwie, który wyczerpywał całą ludność, jakby jakiś wielki wstrząs periodyczny, nie przeszliśmy do systemu, który powoduje *zbyt małe* zainteresowanie się wszystkich obywateli swoją reprezentacją. W rezultacie bowiem staje się zwolna przekonaniem wszystkich, że obecny Sejm i Senat, są zbyt mało związane z nastrojami i tendencjami wszystkich obywateli polskich.

Nie chcemy rozstrzygać tutaj tych wszystkich wątpliwości. Zadanie bowiem nasze *różni się u samej podstawy założeń* od wszystkich metod i sposobów politycznych rozmaitych ugrupowań, czy pism. Życie politycznej Polski w olbrzymiej przewadze swych obecnych zewnętrznych objawów wyżywa się przede wszystkim w kierunku najłatwiejszym, t. j. w krytyce tego, co jest, a bez pozytywnych wskazań, jak *w granicach realnych* zmienić stan istniejący. Oczywiście całe tomy krytyki są łatwiejsze od jednego pozytywnego zdania i postulatu, moment, który tak niesłychanie ułatwia grasowanie po Polsce całemu szeregowi ludzi, pism i ugrupowań. Dlatego też w miejsce rozwijania tylko strony krytycznej chcielibyśmy zagadnienie ordynacji wyborczej omawiać w sensie pozytywnym, w sensie rozważań, jaki system wyborczy byłby w Polsce możliwy, by a) uniknąć błędów dawnej ordynacji, a b) wystrzec się niezaprzeczalnych niedociągnięć nowej ordynacji. Zagadnienie całe musi być przytym i równocześnie omawiane nie jako spis „pobożnych" życzeń, o których wprowadzeniu w czyn nawet marzyć nie można, ale jako uwagi liczące się zarówno z obecnym pozytywnym układem politycznym, z obecnym Sejmem i Senatem Polski, jak też z koniecznościami wypływającymi z międzynarodowego położenia Państwa Polskiego i z jego wewnętrznej statystyki. Przy żadnym bowiem układaniu postulatów nie wolno zapominać o rzeczy może teoretycznie przypadkowej, ale pozytywnej, a mianowicie, że wszelka nowa ordynacja musi przejść przez ciała ustawodawcze pochodzące z obecnej ordynacji, czyli w każdym wypadku liczyć się należy nadal z tym duchem ustrojowym, który powołał nasz obecny Sejm i Senat do życia.

Na tle takiego układu rzeczy wysuwa się na czoło prawda pozytywna, że powrót do dawnej pełnej 5-przymiotnikowej ordynacji wyborczej z systemem numerkowym jest w obecnym układzie zadań i sił Polski nie tylko praktycznie *niemożliwe*, ale co ważniejsze — *niewskazane*. Dawna ordynacja z systemem numerkowym nie spełniała swego zadania, gdyż kryła niebezpieczeństwo takiego rozkładu sił w parlamencie, że najistotniejsze interesy Polski mogły być zagrożone, jak mieliśmy tego dowody w pierwszym i drugim sejmie Odrodzonej Polski. Jeśli więc obecna ordynacja nie znajduje aprobaty powszechnej, to bynajmniej z tego nie wynika, że właściwe rozwiązanie mogło by leżeć w powrocie do dawnej. Zresztą debaty na ten temat byłyby wybijaniem otwartych drzwi. Spory o systemy wyborcze ciągnęły się przez tysiąclecia od czasów archontów i komisji, by doprowadzić do 5-przymiotnikowego „ideału", z tym, że oczywiście wszędzie od pierwszej chwili zrealizowania tego rzekomego 5-przymiotnikowego ideału wystąpiły na jaw z całą siłą nieuchronne błędy

TREŚĆ NUMERU: Sprawa ordynacji wyborczej.— Absolutyzm a totalizm.—Trójgłos o książce Górki.—Chiny, Japonia i ten trzeci.— Organizacja nauki w U.S.A.—Palcem po mapie.— Moja pani, moja pani... —Głosy i odgłosy.

i grzechy 5-przymiotnikowości. Prawo „równe", mimo wszystkich pozorów agitacyjnych, jest w istocie prawem niesprawiedliwym, ponieważ najciemniejszej jednostce, nie orientującej się nawet co do rodzaju swej przynależności państwowej i społecznej, przyznaje ten sam wpływ na losy państwa, co najbardziej zasłużonej znakomitości intelektualnej i obywatelskiej. Przy dawnym sytemie głos jakiejś kobiety z Polesia i głos np. jak kto chce Paderewskiego, miał ten sam walor, będąc prawnie co do swej równowartości zabezpieczony. Nie dziwmy się więc, że nawet kraje pod tylu względami daleko bardziej zaawansowane, niż nią była Polska z roku 1919, mają jeszcze po dziś dzień system pluralny, np. Belgia. Poza tym równość jest teoretycznie niewykonalna, chyba za cenę zmiany okręgów wyborczych przed każdymi wyborami, a to ze względu na dokonywujące się ilościowe zmiany i przesunięcia w zaludnieniu poszczególnych okręgów wyborczych od jednych wyborów do drugich. Wchodzi wreszcie w grę zagadnienie frekwencji wyborczej, sprawa, czy poseł reprezentuje 5 czy 50 tysięcy głosów „równych" i „bezpośrednich". Wszędzie więc z natury rzeczy powstają kombinacje, ograniczenia, systemy.

Powszechność nie istnieje we Francji, nie mówiąc o dzisiejszych Włoszech, ponieważ praktyczny zmysł Francuzów broni się przed przyznaniem prawa głosowania kobietom, słusznie opierając się na powszechnie znanym fakcie, że wszystkie prawicowe, a zwłaszcza klerykalne ugrupowania opierają swe sukcesy nie na faktycznej sile i znaczeniu w kraju, które bądź co bądź w 9/10 reprezentują uświadomieni politycznie mężczyźni, ale na głosach kobiecych.

Rzućmy przykładowo dalsze słowa krytyki. Proporcjonalność tak wysoce w Polsce ceniona i podnoszona ongiś do zenitu nienaruszalnego ideału, nie istnieje w Anglii, a we Francji została nawet usunięta po próbie wprowadzenia. Wreszcie z polskiego naszego doświadczenia wiemy najlepiej, że system numerkowy, tak integralnie związany z proporcjonalnością, uniemożliwiał przebijanie się na arenę polityczną jakichś jednostek, naprawdę wziętych i dobrze widzianych, bo wszystko zależało od paktów, a nieraz pospolitych handlów finansowych,w jakimś lokalu partyjnym co do zajęcia takiego, lub innego miejsca na liście. Suma tych krytycznych, oczywiście tylko przykładowo rzucanych uwag krytycznych, sprowadza się do jednego pozytywnego twierdzenia, które niestety dotychczas nie ugruntowało się jeszcze dostatecznie w polskim myśleniu, a mianowicie, że niema takiego systemu wyborczego, któryby dla każdego kraju, dla każdej sytuacji musiał być uznany za jakieś idealne rozwiązanie, które należy u siebie zastosować.

Skoro więc nie ma jakiegoś idealnego systemu wyborczego, który by przez samą siłę rzeczowych argumentów zasługiwał na bezwzględne uznanie i zastosowanie, musimy postawić sobie za ideową zasadę szukanie i stworzenie takiego systemu wyborczego, takiej ordynacji, któraby uwzględniała przede wszystkim i nade wszystko położenie i konieczność Państwa, *a nie była realizowaniem jakichś haseł ogólnych.* Czy jakaś ordynacja wyborcza jest dla Polski dobrą lub złą, może rozstrzygać tylko sytuacja Polski, tylko polskie stosunki statystyczne, tylko polski układ uświadomienia obywatelskiego i nakaz pożytecznej sprawiedliwości wobec innych, *a nie jakieś ogólno-ludzkie i ogólno-europejskie zasady.* To byłby ten pierwszy pozytywny niejako punkt wyjścia dla całej sprawy.

Drugi moment pozytywny wynika z naszego dotychczasowego doświadczenia zarówno czasów przedmajowych, jak czasów pomajowych, a mianowicie konieczność systemu 2-izbowego. Nie tylko z natury i charakteru narodowego polskiego, polskiej wrodzonej pochopności do przyjmowania uchwał pod wpływem nastrojów, ale z naszego układu statystycznego wynika, konieczność jaknajwiększej ilości zapór dla uchwał wynikających z przypadkowego układu sił i nastrojów. Oczywiście nasza Konstytucja, daje Panu Prezydentowi Rzplitej możność unicestwiania szkodliwości podobnych wypadków, ten fakt jednak nie usuwa obowiązku podtrzymywania ideowo takiego systemu parlamentarnego, któryby możliwie najrzadziej stawiał Prezydenta przed sytuacjami, w których musiałby robić użytek ze swego wyjątkowego stanowiska konstytucyjnego. Zresztą, decydują fakty z doświadczenia. *Senat w Polsce okazywał się zawsze dotychczas instytucją pożyteczną.* Senat, jako izba wyższa odgrywa w Polsce zupełnie inną rolę, niż dawna, nieistniejąca dziś w praktyce, angielska Izba Lordów, a nawet niż Senat francuski, który przeważnie stawał się terenem tylko innych niż w parlamencie rozgrywek politycznych, a nie jakichś innych tendencji ogólno-państwowego umiarkowania. Nie wahajmy się zresztą wypowiedzieć prawdy o naszym najnowszym układzie, a to ze względu na bardzo naiwne krytykowanie, a raczej uśmieszanie systemu elitarnego. Jakkolwiek obecny senat w zestawieniu ze sejmem jest wynikiem systemu elitarnego, nie powszechności, wykazuje on niewątpliwie w poziomie debat, w rzeczowości przemówień, nieporównanie wyższy poziom, aniżeli sejm, który bardziej spełnia postulat powszechności. Przy tym punkcie nie wahajmy się znowu stwierdzić otwarcie cechę wysuwaną przez wszystkich w Polsce bez wyjątku, jakkolwiek może ze względu na rozmaite gierki partyjne nie dość otwarcie przyznawanych. Jest to mianowicie fakt dodatniej roli senatorów z nominacji, którzy niewątpliwie ogromnie przyczynili się do zapewnienia w działaniu Senatu tego wyczuwanego przez wszystkich wysokiego poziomu debat. Tym samym doszlibyśmy do drugiego pozytywnego punktu w tych rozważaniach o racjonalnej ordynacji wyborczej, a mianowicie stwierdzenia ponad jakąś możliwą sporność debat, konieczność utrzymania w Polsce systemu dwuizbowego i to z takim Senatem, w którym pewien procent będzie pochodził z nominacji Pana Prezydenta, w myśl tych zasad, które znalazły już swój wyraz w praktyce.

Oczywiście stwierdzenie zasady, że ordynacja wyborcza Państwa Polskiego ma być realizacją polskich potrzeb i nakazów, a nie jakichś ogólno-ludzkich haseł, oraz że całość doświadczeń nakazuje nam utrzymanie systemu dwuizbowego, jest tylko wstępem, podbudową do tego pozytywnego omawiania całości tych wskazań, które winna realizować polska ordynacja wyborcza. Nasuwa się bowiem zaraz jako trzecia konieczność przyszłej ordynacji polskiej ten moment, którego niewątpliwie nie zrealizowała obecna ordynacja wyborcza, a mianowicie potrzeba takiego związania i zainteresowania składem parlamentarnym wszystkich obywateli polskich, by *system wyborczy stał się drogą ich uspołecznienia.* Izby ustawodawcze nie mogą być momentem, który rozluźnia stosunek obywateli z państwem, by nie mówić już o wytwarzaniu się wprost pewnego zobojętnienia wobec legalnych i normalnych dróg pracy państwowej. Niewątpliwie bowiem, a bądźmy szczerzy do granic ostateczności punktem wyjścia dla krytycznej oceny ostatniej polskiej ordynacji są zestawienia statystyczne głosujących w poszczególnych okręgach Polski w czasie ostatnich wyborów. Jeśli ktoś posiada odwagę wypowiadania całej prawdy bez oglądania się na efekty partyjne, czy grupowe, to musi stwierdzić, że rezultat ten nie był takim, jakiego sobie należy życzyć w interesie uspołecznienia politycznego życia obecnej Polski.

W konsekwencji więc zmiana ordynacji wyborczej, o której się dzisiaj coraz bardziej w Polsce mówić poczyna, musiałaby być jakąś średnią, która z dostosowaniem się do polskiego układu rzeczywistości uniknęłaby wszystkich fatalnych skutków tej dawnej najszerzej pojętej 5-przymiotnikowości, ale z drugiej strony stwarzała takie ramy i takie możliwości, by jednak ogół obywateli Państwa Polskiego został wciągnięty do tego *normalnego, uprawnionego* wpływu na rządy Państwem Polski. Tym samym zaś ogół ten winien być pociągnięty do współprzyjęcia odpowiedzialności nie tyle za rządy Państwa, bo to jest przede wszystkim prawem każdorazowego Prezydenta Polski, ale za wykonywanie kontroli tych rządów.

Te ciężkie wymogi dobrej ordynacji wyborczej pozornie tak przeciwstawne, — są do rozwiązania. (113)

Totalizm a absolutyzm

„Ruch prawniczy, ekonomiczny i socjologiczny" (III kwartał) omawia broszurę Kutrzeby „Państwa totalne", którą poddaliśmy obszernej krytyce w jednym z poprzednich numerów „Zaczynu".

Sprawozdawca p. K. Matuszewski, mówiąc o popularnej i stale podkreślanej rzekomej analogii pomiędzy ustrojem totalnym a absolutnym robi uwagę, że:

> *Inaczej kształtuje się stosunek między państwem a społeczeństwem w obu ustrojach: w pierwszym społeczeństwo jest od czasu do czasu wzywane do oświadczeń w sprawach politycznych, jest podmiotem, gdy w drugim tylko przedmiotem rządzenia. Demokracja Rousseau'owska byłaby niewątpliwie ustrojem totalnym. Poza tym kwestia praworządności wzbudza wątpliwości. Niektórzy włoscy autorzy, np. del Vecchio, utrzymują, że ustrój faszystowski jest praworządny. Niewątpliwie należało by to pojęcie rozumieć tak szeroko, jak to czyni nasz znakomity uczony. Wtedy jednak elementy totalizmu odnajdą się w ustrojach, które się za totalne nie uważają.*

Uwagi niewątpliwie słuszne; do spraw tych wrócimy jeszcze niejednokrotnie.

Trójgłos o książce Górki

Państwowcy, Lewica i Rasizm

o „teorii nieodwracalności interesów"

Przypominamy książkę Górki

Parę miesięcy temu ukazała się na półkach księgarskich głośna już dzisiaj książka Olgierda Górki „Naród a Państwo jako zagadnienie Polski". Obfity materiał recenzyjny pozwala nam obserwować nad wyraz interesujące zjawisko jak zasadnicze myśli Autora załamują się w krzywych zwierciadłach poszczególnych dokrytn, czy systemów myślenia politycznego.

Na wstępie przypomnimy Czytelnikom w najzwięźlejszym skrócie zasadnicze tezy prof. Olgierda Górki.

Po szczegółowej analizie dotychczasowych pojęć dotyczących narodu, państwa i ich wzajemnej zależności stwierdza Górka konieczność stworzenia własnej rdzennie polskiej teorii państwa i próbuje ją wyprowadzić z działalności Marszałka Piłsudskiego.

Wychodząc z wewnętrznej identyczności prawa prywatnego i publicznego Górka określa państwo jako konieczne i przymusowe nadprzedsiębiorstwo, którego właścicielem jest naród. Interesy państwa i narodu, jak interesy przedsiębiorstwa i właściciela wielokrotnie są zbieżne, mogą jednak być sprzeczne i trzeba ustalić nadrzędność i hierarchię interesów na wypadek takiej sprzeczności. W tym miejscu Górka przechodzi do swej „teorii nieodwracalności interesów". Wszystko co leży w interesie państwa równocześnie wychodzi na dobro narodu, nie można jednak tego odwracać, bo nie wszystko co leży w interesie narodu leży w interesie państwa. A zatem nie może zachodzić sprzeczność między interesem państwa a interesem narodu, jednak — w myśl teorii nieodwracalności — może i często zachodzi sprzeczność między interesem narodu, a interesem państwa. Dlatego przy każdej sprzeczności należy uznać za drogowskaz rację interesu państwa.

Rozumowanie to, streszczone tu z ogromnym uproszczeniem, poparte jest licznymi przykładami z dziedziny zagadnień narodowościowych, szczególnie w Polsce. Nie można się dziwić, że tak śmiałe, jasne i logiczne rozstrzygnięcie poważnego problemu Polski współczesnej wywołało zrozumiałe zainteresowanie i polemiki.

Recenzje

Książka Górki choć ukazała się bardzo niedawno, wywołała już szereg recenzyj i polemik w prasie codziennej i periodycznej. Z obszerniejszych omówień można wspomnieć cykl Józefa Korpały w „Narodzie i Państwie" (który w niektórych fragmentach błędnie pojmując intencje Górki, polemikuje z tezami nigdy przez niego nie głoszonymi) i Ryszarda Piestrzyńskiego w „Kurierze Porannym" (który dowcipnie i niewątpliwie słusznie zaznaczył, że popularne hasło „Polska dla Polaków" Górka zmienia na znacznie słuszniejsze „Polacy dla Polski"). Ostatnio zbiegły się trzy zasadnicze recenzje omawiające książkę Górki z trzech zasadniczych punktów widzenia. Są to: recenzja podpisana literą S. w 7/8 num. mies. „Droga" (przedrukowana w obszernych wyjątkach w „Pionie"); recenzja Stefana Franka w lewicowych „Sygnałach", oraz recenzja Paula Breitenkampa w piśmie hitlerowskim „Deutschen Arbeit". Sądzimy że równoczesne omówienie recenzji z tak różnych punktów widzenia zainteresuje naszych czytelników.

„Droga"

„Droga" pismo o znakomitych tradycjach, które odegrały wielką rolę przez wychowanie elitarnych zastępów państwowców — poczynając od mężów stanu, a kończąc na awangardowych poetach — utrzymuje godną siebie linię poziomu. Recenzja z książki Górki utrzymana jest w tak wielkim stylu i potraktowana tak głęboko i rozumnie, że przywodzi na pamięć najpiękniejsze karty polskiej publicystyki. Nie ulega wątpliwości, że pod literą S. ukrywa się wybitny pisarz polityczny, szczery patriota i głęboki myśliciel. Znakomity recenzent stwierdza, że książka Górki zasługuje na baczną uwagę zarówno ze względu na treść jak i ze względu na zagadnienie, które rozważa, oraz osobę autora. Olgierd Górka jest bowiem pisarzem wielkiego charakteru i odwagi cywilnej, który zamiast — jak się powszechnie dziś stosuje — przystosowywać się do banalnych opinii ogółu, umie wskazywać nowe choć trudne drogi. Słusznie zaznacza S. że:

„gdzie jak gdzie, ale w Polsce, zwłaszcza współczesnej, na nowo tworzącej się, nie wolno chodzić drogami utartymi dlatego, że tymi drogami chodzi się zwykle i chodzono dawniej. Trzeba pamiętać, że drogi tradycjonalne doprowadziły kraj nasz do przepaści i z tego przede wszystkim powodu odnosić się do nich należy z największym krytycyzmem. Odbudowa państwa polskiego, zdobycie niepodległości, to nie jest tylko zrzucenie obcego jarzma i nadanie narodowi własnych form politycznego bytu, ale to jest fakt, przeobrażający do gruntu życie narodowe i stosunek narodu do wszelkich zagadnień publicznych".

Przechodząc do dalszego omówienia książki Olgierda Górki S. pisze:

„Książka, którą nam daje, jest książką wybitnie polityczną. Wynika to choćby z tytułu, który zapowiada traktowanie narodu i państwa jako zagadnienia Polski. Co ważniejsze, wynika to z jej treści. Nie stanowią jej kwintesencji konstrukcje socjologiczno-prawnicze tam wypowiedziane, ale stanowi życiowy najistotniejszy dla każdego Polaka cel, a mianowicie troska o dobro narodu i państwa polskiego. To hasło „wszystko dla Polski", czy „Polska nade wszystko" przyświeca całemu dziełu Górki. Konkretnie biorąc, dobro państwa polskiego to jego zasada, której wszystkie sprawy, tak publiczne jak i prywatne, muszą być podporządkowane. Gdyby określić tendencje książki w sposób najbardziej zwięzły, to należało by powiedzieć, że tendencją tą jest uznanie prymatu państwa w życiu Polski.

Nadrzędność interesu państwowego w stosunku do wszelkich przejawów życia publicznego czy prywatnego jest prawdą oczywistą. Jednakowoż, jeżeli wyodrębnić naród i przeciwstawić go państwu, to rodzi się pytanie, czy prymat państwa ma także odnosić się do narodu, czy interes narodowy ma być państwowemu podporządkowany i czy w razie kolizji trzeba go dla interesu państwowego (czyli tzw. racji stanu) poświęcić? Odpowiedź na to właśnie pytanie stanowi istotną treść książki prof. Górki, a odpowiedź ta wypada pozytywnie i to całkiem stanowczo. Wszystkie wywody autora zmierzają ostatecznie do jednego celu, to jest do uwydatnienia konieczności ustępowania przez interes narodowy pierwszeństwa interesowi państwa. Wywody są niezmiernie bogate w treść, bardzo pouczające, opierają się na współczesnym położeniu Polski a także są bogato ilustrowane przykładami z naszej przeszłości. Autor stwierdza słusznie podobieństwo pomiędzy egoizmem stanowym dawnego narodu szlacheckiego, a współczesnym, ciasno pojętym interesem narodowym, zapoznającym wyższy interes państwa. Egoizm narodu szlacheckiego doprowadził do upadku dawnej Rzeczypospolitej, a autor za pomocą swojej książki ostrzega społeczeństwo obecne przed podobnym egoizmem, jako podobnymi grożącym niebezpieczeństwami. Czytanie tych przestróg jest wysoce kształcące i wywrzeć powinno wpływ dobroczynny na pokolenie obecnie odpowiedzialne za losy ojczyzny".

Podkreślając w ten sposób wysokie walory dzieła prof. Górki Autor wysuwa również pewne zastrzeżenia co do jego teoretycznych wywodów. Przede wszystkim protestuje Autor przeciw dopuszczaniu przez Górkę możliwości przeciwstawiania się interesów narodu i państwa, gdyż nawet z dalszych wywodów prof. Górki wynika okrężną drogą, że dobrze rozumiany interes narodu polega właśnie na realizowaniu interesu państwa, czyli jest przez rację stanu pochłonięty. Przyczynę tego nieporozumienia widzi Autor w niedostatecznym sformułowaniu pojęcia narodu, bardzo trudnego do ścisłego ujęcia i zdefiniowania. W dalszym ciągu Autor kwestionuje analogię państwo-przedsiębiorstwo jako sprowadzającą istotę państwa do układu interesów, podczas gdy jest ono również tworem o charakterze moralnym traktowanym również i na płaszczyźnie uczuciowej. Również z punktu widzenia teoretyczno-prawniczego przenoszenie instytucji prawa prywatnego do dziedziny prawa publicznego i uznanie jedynie narodu (tj. większości akcjonariuszy) a nie ogółu obywateli wydaje się Autorowi nietrafnym. Ponad te jednak ściśle koncepcyjne spory przedkłada Autor aktualne i ściśle życiowe wskazówki i zajmuje się konkretnymi problemami mniejszościowymi w Polsce, referując obszerne w tej materii wywody prof. Górki. Kończąc raz jeszcze stwierdza Autor, że książka Olgierda Górki

„to naprawdę czyn polityczny dużej dla naszego narodu i państwa doniosłości. Z odwagą i stanowczością prawdziwego bojownika idei polskiej wskazuje on narodowi drogi postępowania w jednej z najkapitalniejszych naszych kwestii państwowych, jaką jest unormowanie stosunków narodowości niepolskiej w państwie. Nie waha się przełamać przesądów opinii, odziedziczonych jeszcze po dawnym narodzie szlacheckim, a tkwiących we współczesnych polskich duszach. Odwołuje się w tym do polskiego patriotyzmu państwowego, który winien już ukształtować się i rozwinąć w państwie polskim. Wykazuje konieczność oderwania się od dawnego stosunku do narodu i państwa z czasów niewoli i stworzenia ideologii nowej, odpowiadającej życiu w państwie niepodległym. A życie to nadało współczesnemu pokoleniu olbrzymie prawa, ale także i wielkie obowiązki. Występuje tutaj współodpowiedzialność każdego obywatela za losy państwa, a więc konieczność dla tych wszystkich, którzy na losy te choćby pośrednio wpływają, niekierowania się przesądem i rutyną, wytworzonymi w całkiem odmiennych bezpaństwowych warunkach, ale gruntownego przemyślenia i przestudiowania na nowo podstawowych zagadnień bytu Polski. Książka prof. Górki — to właśnie doskonały materiał do tych studiów, doskonały, bo mądry i mądrość swoją czerpiący z przejętego gorącym patriotyzmem serca polskiego".

Marksiści ciągle swoje

Czasopismo lwowskie „Sygnały" organ o tendencjach wyraźnie marksistowskich zamieszcza recenzję p. Stefana Franka, bar-

dzo typową dla marksistowskiej szkoły myślenia. St. Frank na wstępie podkreśla z aprobatą fakt, że Górka nie podchodzi do państwa z punktu widzenia idealistycznego i że wyzwalając się z metafizycznych ogólników opiera się na realnych podstawach prawno-historycznych. Następnie jednak zarzuca St. Frank Górce, że niedocenia materialistycznych teorii państwa, a więc marksowskiej i ludowo-socjalistycznej Mengera. Teorię o państwie jako nadprzedsiębiorstwie traktuje St. Frank przychylnie jako zdecydowanie materialistyczną, i „bliższą koncepcjom socjalistycznym niż reakcyjno-idealistycznym". Konsekwencje jednak wyciągnięte z tego stanowiska nie podobają się p. Frankowi, bo zamiast powtórzyć za Mengerem, że „cel działalności państwowej stanowią niemal wyłącznie interesy możnych", Górka stawia „idealistyczną" tezę, że „rzeczywistym właścicielem całego państwa jest naród polski". Rozwijając dalej analogię „państwo-przedsiębiorstwo" stara się udowodnić, że „właścicielami" państwa jest dziś burżuazja i wielcy obszarnicy.

Oto zasadnicze myśli Stefana Franka; jak widać nie wychodzą one poza sztywny schemat doktryny materialistycznej. Te „niewzruszalne" prawdy o państwie doprawdy trącą dziś myszką i znamy je nie od dziś; „państwo wytworem nieprzejednanych przeciwieństw klasowych" (Engels) „państwo jako organ panowania klasowego, organ ucisku jednej klasy przez drugą" (Marks), państwo, którego „obumieranie" zapowiadano w Antydüringu, a które Lenin obiecywał wysłać do muzeum starożytności „obok kądzieli i toporu bronzowego", to jak na rok 1937-y stanowczo nieco za stare. Jeżeli Górka stosunkowo mało zajmował się teoriami materialistycznymi, to sądzimy, że nie chciał tracić miejsca na przekreślanie tego co życie samo przekreśliło dostatecznie już dawno. Trzeba pamiętać, że Górka jest historykiem a historia to obok filozofii ta dziedzina, gdzie światopogląd materialistyczny jest najbardziej jałowy, reakcyjny i przestarzały. Materialistyczne pojmowanie dziejów, które powstało (bo tylko wtedy mogło powstać) i ugruntowało się w wyjątkowo bezpłodnym i pozbawionym wybitnych indywidualności okresie, zostało bezlitośnie przekreślone przez wiek XX-y i tego faktu nic już nie zmieni. Sam Górka wielokrotnie podważał ten płytki i naiwny światopogląd i to nie atakując go wprost, ale wykazując pozytywnie ogromne znaczenie sił moralnych przy każdorazowym przekształceniu rzeczywistości.

Wracając do tematu trzeba nadmienić, że koncepcja państwa jako narzędzia klasy posiadającej z punktu widzenia poglądu na państwo może być potraktowana narówni z koncepcją nacjonalistyczną. Pomimo prawdopodobnych protestów z prawa i z lewa jest tak istotnie; są to dwa różne aspekty tego samego poglądu, traktującego państwo jako tylko narzędzie realizujące interes pewnej grupy (klasowej lub narodowej).

Najważniejszy zarzut jaki stawiamy „Sygnałom" to fakt, że ich recenzent zapomniał o drugiej części tytułu. Chodzi o naród i państwo „jako zagadnienie Polski". St. Frank zapuścił się w gęstwę formułek i doktrynerstwa bez żadnego powiązania swych konstrukcji z aktualnymi problemami żywej dzisiejszej Polski. Niestety doktrynerstwo jest stale wspólną cechą całej polskiej t. zw. lewicy, a zwłaszcza jej „intelektualnych" wywodów.

Hitleryzm bacznie obserwuje

W sierpniowym zeszycie miesięcznika „Deutschen Arbeit" wydawanym specjalnie dla Niemców na obczyźnie, poza granicami Rzeszy, ukazał się artykuł Paula Breitenkampa p. t. „Polska racja stanu i zagadnienie narodowościowe". Artykuł ten jest obszerną recenzją z książki Olgierda Górki. W przeciwieństwie do recenzji omawianej poprzednio nie ma tu nic z doktrynerstwa, przeważa nad wszystkim niezwykle rzeczowa analiza książki z punktu widzenia realnych możliwości polskich warunków. Autor podkreślając specjalnie trudne położenie narodowościowe Polski i poddając je popartej cyframi analizie referuje szczegółowo książkę Olgierda Górki, którą traktuje jako wyraz głębokiej myśli politycznej i polskiej racji stanu. Teorię państwa - przedsiębiorstwa wyprowadza Breitenkamp — prawdopodobnie słusznie z 1-go punktu Konstytucji kwietniowej, który brzmi, że „państwo jest wspólnym dobrem wszystkich obywateli", przyczem zaznacza, że słowo „dobro" jest w tym znaczeniu synonimem słowa „własność". Warto zaznaczyć drobną lecz charakterystyczną sprawę, mianowicie to „przedsiębiorstwo", które tak raziło zarówno publicystę z „Drogi" jak i prawdopodobnie wielu innych czytelników książki Górki, publicyście niemieckiemu nie nasuwa najmniejszych wątpliwości. Sprawa wydaje się bardzo prosta, „przedsiębiorstwo" w języku polskim brzmi rzeczywiście bardzo po handlowemu podczas gdy niemieckie „Unternehmung" niczyjego ucha nie razi. A przecież chodzi nie o słowo lecz o pojęcie. Oczywiście, że można by do paradoksów zaliczyć takie fakty jak to, że pisarz zwalczający prądy polityczne w Polsce, wzorowane na hitleryzmie pochwalony zostaje przez teoretyków autentycznego hitleryzmu; sama jednak recenzja, o której mowa wskazuje wyraźnie dwie rzeczy. Po pierwsze, że książka Olgierda Górki wywołała zainteresowanie nawet poza granicami, a po drugie, że stosunek Polski do zagadnień narodowościowych ten zasadniczy problem państwowy jest pilnie obserwowany przez naszych sąsiadów. Dodajmy bowiem, że recenzja Paula Breitenkampa została w całości przedrukowana przez „Danziger Vorposten" oficjalny organ narodowo-socjalistyczny w Gdańsku.

Zakończenie

Zreferowaliśmy powyżej trzy głosy o książce Olgierda Górki, z trzech punktów widzenia. Nie mając po temu żadnych upoważnień od Autora nie wdawaliśmy się naogół w polemikę z oceną treści książki (poza polemiką z materialistycznym poglądem na historię, który potraktowaliśmy negatywnie niezależnie od samej książki).

Wydaje nam się, że przegląd ten był ciekawy i pouczający. Szereg wniosków ciśnie się pod pióro, ale ramy artykułu każą je odłożyć na później. Mamy nadzieję, że łamy „Zaczynu" nadal będą zawsze otwarte dla tak ważnych i istotnych problemów jak te, które porusza prof. Olgierd Górka.

— (56).

CHINY — JAPONIA I TEN TRZECI

W konflikcie chińsko-japońskim jest conajmniej trzech partnerów, przytem trzecim partnerem jest Rosja Sowiecka. Właściwie, udziałowców w „daleko-wschodnich interesach" jest znacznie więcej, choćby wymienić tak zaangażowanych jak Anglia i Stany Zjednoczone; interesy tych mocarstw są jednak tak różne, iż trudno byłoby kusić się o ryczałtowe opisanie tej gry w której Chiny są raczej przedmiotem targu. Tak więc zwróćmy oczy na trzeciego partnera, niewątpliwie najwięcej zaangażowanego w tym co się obecnie dzieje pod Szanghajem.

Chiny nie są przeciwnikiem Japonii. Są ofiarą. Ofiarą rywalizacji rosyjsko-japońskiej. Oczywiście, w takim stwierdzeniu jest pewne uproszczenie: na wybuch konfliktu złożyło się wiele przyczyn, ta jednak jest ostatecznym powodem decyzji japońskich kół wojskowych, szczególniej zaś wybrania Chin Północnych na teren ekspansji.

Nie trzeba zapominać, że Azja jest klasycznym krajem tak zwanych „sfer wpływów". Że mocarstwa pozaazjatyckie dzieliły Chiny jak sztukę płótna pomiędzy siebie dla eksploatacji gospodarczej, że czterysto milionowe Chiny były i są najlepszym rynkiem zbytu.

Japonia, jak można sądzić, nie kusi się o podbój polityczny tego ogromnego kraju i najliczniejszego narodu na świecie. Zasymilowałby on i dziś każdego pogromcę, jak asymilował powielokroć w swej bardzo długiej historii.

Zresztą Japonia dla rozszerzenia swej sfery wpływów na Chiny nie potrzebowałaby orężnych nad nimi sukcesów. Musi natomiast wyprzeć inne wpływy. Najsilniejsze zaś i najbardziej dla interesów japońskich niebezpieczne są wpływy rosyjskie, komunistyczne.

Rosja Sowiecka zabrała się do tej roboty poważnie już od dawna. Wystarczy tu powiedzieć, że od roku 1925 istnieje w Moskwie „Chiński Uniwersytet Robotniczy imienia *Sun Yat Sena*" i drugi uniwersytet imienia Stalina (również dla studentów azjatów), które wypuszczają setki agitatorów rocznie; że kształci się obecnie kilkunastu Chińczyków w Akademii Wojskowej, kilkunastu w Wyższej Szkole Lotniczej i ponad stu w Oficerskiej Szkole Piechoty.

Trzecia Międzynarodówka pokłada wielkie nadzieje na sowietyzację Chin. Odniosła zresztą znaczne sukcesy: mało kto wie, że w Chinach istnieje stokilkadziesiąt zsowietyzowanych obszarów, że istnieje „Centralny Sowiecki Rząd Chiński". Więcej, już wiemy o istnieniu kilku chińskich „czerwonych armij".

Lenin pisał niedługo przed śmiercią: „Rezultat walki zależy ostatecznie od tego, że Rosja, Indie, Chiny i tym podobnie stanowią olbrzymią większość ludzkości. Właśnie ta większość zostaje w ostatnich latach wciągnięta z niebywałą szybkością do walki o swe wyzwolenie".

Uzależniał więc on niejako zwycięstwo komunizmu nad światem od wypadków rozgrywających się w Azji.

Wojskowi eksperci, zabierający głos na łamach prasy europejskiej, upatrują w konflikcie chińsko-japońskim przedwstępne kroki do rozprawy naprawdę gigantycznej: do wojny z Rosją o wpływ nad Azją.

Zwracają uwagę, że wobec ufortyfikowania Władywostoku i stworzenia opancerzonej pięści nad Amurem, jedyna droga wojenna prowadzi od południa. Strategicznie najlepiej było by uderzyć na linię Bajkału. Ale wtedy plecy armii japońskiej byłyby odwrócone do Chin. Plecy te winny być zabezpieczone przed ciosem, który na wypadek wojny z Rosją byłby śmiertelny.

Dla zabezpieczenia tyłów wystarczyło by zapewnić sobie neutralność choćby kilku prowincyj Chin Północnych.

Japonia starała się przez kilka lat o to, lecz napróżno. Chwyciła za argument ostateczny, jakim jest oręż.

Być może jednak, że idzie tu tylko o nastraszenie, o wymuszenie przychylności. Wskazywałyby na to początkowe wysiłki dyplomacji japońskiej dążące do zlokalizowania konfliktu i do nadania mu charakteru „karnej ekspedycji".

Czy nastraszenie uda się, czy nie, zależy od wielu czynników i jest zdane na nieobliczalne fluktuacje przypadku. Ostatnie wypadki skłaniają raczej do tej drugiej alternatywy.

*

Dlaczego jednak Rosja jest pierwszoplanowym rywalem Japonii? Odpowiedź na to pytanie łatwo można odczytać z kartek kroniki politycznej. Tworzenie ich jest rzeczą ciekawą, odczytywanie niestety — nudniejszą, zwłaszcza gdy w kilkudziesięciu wierszach opowiedzieć trzeba historię 75 lat.

Interesy Rosji i Japonii krzyżują się conajmniej od roku 1895. Gra, wtedy między nimi zaczęta, jest ciągle bez rozstrzygnięcia.

Już raz Japonia pobiła Chiny; miała błyskotliwe zwycięstwo. Było to właśnie w roku 1895. Za sprawą Rosji zwycięstwo zamieniło się w klęskę polityczną. Japonia była za słaba, Rosja zbyt mocna i dlatego zdobycz wyrwana została — mówiąc obrazowo — z gardła.

Później Rosja zdawała się być bliska zwycięstwa: panowała w Port Arturze i niespodziewana klęska 1905-go roku zmieniła sytuację zasadniczo. Japonia uznała się za dość silną aby uderzyć w państwo carów. I rzeczywiście w obliczeniach swych nie omyliła się.

Po wojnie światowej Rosja (już sowiecka) szukała rozstrzygnięcia w Mongolii Zewnętrznej; dało się, powiększyła swoją sferę wpływów. Strata Mandżurii Północnej znów zniszczyła sukces i to z dużą nadwagą na korzyść rywala.

Szczęśliwy rywal boi się jednak tym razem zagrać va banque, przynajmniej narazie, i umacnia swoje przewagi kosztem Chin, nie zaczepiając samej Rosji.

Skrót powyższy potrzebny był dla podmalowania tła, na którym rozgrywają się wypadki aktualne. Tło jest integralną częścią obrazu, a w tym wypadku oznacza (w przetłumaczeniu na język polityczno-historyczny) pojedynek bez rozstrzygnięcia.

Zresztą współczesne, choć coprawda nieoficjalne, opinie japońskich polityków, widzą grzech Rosji w daleko wcześniejszych wypadkach, bo w jej całym pochodzie na Wschód.

W początku wieku XVII dotarła Rosja do Jeniseju, w kilkanaście lat później do Leny, a jeszcze w kilka lat później do Amuru, zaś u schyłku XVII w. doszła do brzegów Oceanu Spokojnego. Państwo moskiewskie powiększało się przeciętnie o 52.000 km.² rocznie, czyli o obszar równy Norwegii; podobny wzrost państwa, z wyjątkiem może imperium brytyjskiego, jest fenomenem w historii świata.

Słusznie, czy nie, ale Japończycy, lansujący hasło: „Azja dla Azjatów" nie są zadowoleni z tak potężnego sąsiedztwa.

Nadeszła wojna światowa a z nią i rewolucja w Rosji. Europa obawiała się, że energia wybuchu rewolucyjnego skieruje się wyłącznie na Zachód. Wypadki ostatnich lat zaprzeczyły temu. Skierowała się ona również i na Wschód. Nie jest to przypadek, więcej jest w tym logiki niż politycznej mody.

Idąc odrazu do sedna rzeczy, powiemy: wynikło to z przebudowy gospodarczej Związku Sowieckiego. Sprawa to bardzo ciekawa, ale niestety skomplikowana, więc nie wdając się w pytania „jak" i „dlaczego" stwierdzimy tylko, że i obecnie Rosja zbliża się do Japonii siedmiomilowymi butami.

Po ustaleniu, że udział Azji w bogactwach państwa rosyjskiego jest przeważający; że skupia się poza Uralem 80% energii, 80% węgla, 40% żelaza, 90% miedzi, 95% cynku, 100% rzadkich metali i t. d.; po stwierdzeniu, że w ośmiu ustalonych regionów o największych geochemicznych możliwościach — sześć leży w Azji, jeden w kole polarnym, a tylko jeden we właściwej Rosji — Syberia ożyła. Zaczęła się zaludniać i urbanizować: powstawały nowe miasta, z małych wyrosły duże; ilość robotników i pracowników w przeciągu 7 lat, od 1926 do 1934, więcej niż podwoiła się. Podskoczyła mianowicie z 2,5 milionów do niemal 6-ciu.

80% nowych linij kolejowych powstaje na wschodzie.

A obok wysiłków ekonomicznych idą wojskowe: stworzone na Dalekim Wschodzie armię Blüchera, wielkie bazy lotnicze pod bokiem Japonii. Naprawdę pod bokiem, bo z Władywostoku do Osaki jest taka odległość jak np. z Warszawy do Londynu, odległość śmiesznie mała dla współczesnych olbrzymów powietrznych. Przytem lotnictwo sowieckie ma do zbombardowania tylko dwa, trzy ośrodki, notabene w większości zbudowane nie z żelazo-betonu, ale z drzewa. Robota nie trudna.

*

Z jednej strony droga na Wchód, a z drugiej — japońska na Zachód. Zaczęła się ona w roku 1863, w tym właśnie kiedy w Polsce wybuchło drugie powstanie. Upokorzona przez Europę w słynnym incydencie pod Szimonoseki, zrozumiała jej techniczną i organizacyjną wyższość. Drogą wewnętrznych wstrząsów i przeobrażeń oblicze Japonii zmienia się; wzmacnia się

(Dokończenie na str. 6-ej)

HEJ MAZURY!



Ostatni proces skarbowców wykazał jak trudno z „Łuszczarni Ryżu" wyłuskać podatki.

Społeczeństwo i Państwo subsydjują wiedzę

ORGANIZACJA NAUKI w U.S.A.

Przed wojną światową wielki przemysł amerykański właściwie nie istniał. Nie było ani fabryk ,ani ludzi dostatecznie wykształconych, którzyby taki przemysł tworzyli. Studentów wysyłano na naukę do Europy, a uczelnie amerykańskie, stanowiące tylko naśladownictwo importowane, nie stały na poziomie, mogącym dać potrzebny poziom wiedzy teoretycznej i praktycznej. Właściwie nawet nie rozumiano i nie odczuwano potrzeby stworzenia własnego przemysłu; odpowiednie artykuły importowano z Niemiec, Anglii i in., płacąc surowcami lub złotem. To się kalkulowało — Europa produkowała taniej. Zagadnienia samowystarczalności, stanowiące gwóźdź powojennej polityki mocarstwowej, nie ujawniały się w atmosferze liberalizmu i wymiany gospodarczej. Stany Zjednoczone, z którymi, jako państwem i wytwórcą przemysłowym nikt się poważnie nie liczył, okazały się nagle w r. 1918 mocarstwem niemal równorzędnym z imperium brytyjskim. Proces wręcz nieprawdopodobonego rozwoju gospodarczego i przemysłowego odbył się dla nas (i nietylko dla nas...) niespostrzeżenie. Woodrow Wilson podyktował Europie warunki pokoju.

W czasie wojny Stany Zjednoczone zostały odcięte od importu morskiego. Powstał głód na artykuły przemysłowe. Mało tego; koalicja kupowoła wszystko i płaciła każdą cenę. Wytworzyły się sprzyjające warunki i Amerykanie je wykorzystali. Przed tym wielkim „wstrząsem moralnym" wszystko co było europejskie, miało u nich najwyższą markę. Teraz się odmieniło, yankesi klepią Europę po ramieniu... i niczego od niej nie potrzebują. Uważają siebie za wzór godny naśladowania. Wiedza europejska ma zbyt małe zastosowanie praktyczne, oni cenią uproszczenia, użytkowość, ostatnie słowo decyduje.

„Wyprodukowani" przez nich w ostatnim dziesięcioleciu młodzi uczeni teoretycy: *Van Fleck, Wilson jr., Spedding, Anderson* (jego trzecia ogłoszona praca naukowa nt. z zakresu pozytronów — zdobyła mu nagrodę Nobla), *Lawrence, Pauling, McMillon...* należą do elity światowej. Przyjeżdżają do Europy nie po naukę, lecz po parę litrów powietrza wolnego od ducha materializmu, samochodów, konkurencji. Tylko tą atmosferą „idealistyczną" górujemy nad Ameryką. A nasi doktorzy i docenci jadą po naukę za ocean.

Bardzo chętnie powiadamy o tych co nas wyprzedzili, że im się udało, mieli łut szczęścia, który przeważył nasz funt rozumu. Edison też powiedział reporterom, że swoje wynalazki zawdzięcza szczęściu i przypadkowi. Ale Amerykanie umieją *robić* „szczęście", mało tego, robią nawet *zapotrzebowanie* na szczęście...

I pożyteczne będzie dla nas zobaczyć jak to się robi i na czym to polega. Wielkie zdobycze przemysłu, ułatwienia życia nie robią się same. Robią je ludzie przygotowani. Ale ludzie nie przygotowują się sami należy ich „wyprodukować". Robi się to na wyższych uczelniach i w instytutach naukowych, o których niżej piszemy.

System nauczania

Ograniczeni ramami artykułu pominiemy szkolnictwo niższe i średnie (nauczanie naprawdę bezpłatne) a zajmiemy się odrazu uczelniami wyższymi.

Pominiemy wśród nich wyższe szkoły zawodowe, kształtujące majstrów (2—4 lata), handlowców (3 lata), nauczycieli szkół średnich i zajmiemy się uniwersytetami i politechnikami.

Każdy uniwersytet ma szereg kolegiów, np. muzyki, pedagogiki etc., między nimi kolegium sztuki i wiedzy *(arts and sciences)*, w skład którego wchodzi zawsze wydział chemii. Studenci składają egzaminy wstępne (tylko celujący maturzyści są zwolnieni) i zakwalifikowani mają prawo ubiegania się o stopień bakałarza (coś pomiędzy absolwentem i studentem po półdyplomie u nas). Kurs trwa 4 lata.

Bakałarz, który chce iść do pracy badawczej, wstępuje do „szkoły wyższej", gdzie mu nadają stopień magistra wzgl. doktora filozofii, lub inżyniera wzgl. doktora inżynierii.

Stopień magistra (inżyniera) uzyskuje się z reguły w ciągu roku. Obowiązuje wysłuchanie wykładów specjalnych, wykonanie pracy badawczej. Magister (inżynier) ma prawo wykładania w gimnazjach. Z reguły jednak kształci się dalej. Większość z nich zostaje asystentami na swoich lub innych uczelniach. Doktoryzowanie się trwa z reguły około 3 lat (od dwóch do pięciu). Obowiązuje wysłuchanie odpowiednch wykładów i wykonanie pracy badawczej. Prace dyplomowe na uniwersytetach są z zakresu teoretycznego w odpowiednich specjalnościach, na politechnikach — z zagadnień ruchu, usprawnienie produkcji, zastosowanie teorii, często prace również czysto teoretyczne. Doktór ma kwalifikacje na badacza-twórcę, wzgl. profesora.

Profesorowie i pensje

Profesorowie na uczelniach amerykańskich dzielą się na dwie grupy: wykładowców i badaczy. Pierwsi z reguły publikują artykuły historyczne, ogólne, z zakresu nauczania i z tego powodu nie mają szerszego rozgłosu. My znamy tylko nazwiska badaczów, którzy ogłaszają prace naukowe. Wykładowcy muszą umieć podejść do studenta, dbać o niego, opiekować się, no i wykładać porządnie. Mają do czynienia z reguły z kandydatami na bakałarzy. Badacze zasadniczo nie prowadzą wykładów. Mając niewielu studentów, przekazują im swą wiedzę raczej w formie dorywczych rozmów.

Zasadniczo istnieją trzy poziomy wykładów każdego przedmiotu. Profesor wykładający na poziomie pośrednim jest częściowo badaczem. Oczywiście kwestia odpowiedniego dla określonej specjalności doboru wykładów ma znaczenie zasadnicze. Tu student dostaje cenne wskazówki od profesora, u którego się specjalizuje.

Wymagania stawiane studentom są dość ostre. *Obecność na wszystkich wykładach i ćwiczeniach jest obowiązkowa.* Profesor przeprowadza kontrolę postępów na egzaminie w końcu semestru oraz na dorywczych nie zapowiadanych „klasówkach". Zmusza to studenta do stałej pracy i nie pozwala na odkładanie książek aż do terminu egzaminu semestralnego. Zresztą tempo przechodzenia materiału jest tak szybkie, że zaniedbanie nie dałoby się odrobić. Dodamy, że na klasówkach nikt nie ściąga. Wydałby go bez skrupułów kolega, a wtedy pozostanie na uczelni nie byłoby możliwe. Wogóle sita egzaminacyjne są bardzo gęste: na pierwszym roku odpada 25% studentów, a na drugi rok pozostają tylko usprawiedliwieni chorobą. Zresztą student płaci 500 dol. rocznie tytułem czesnego, a łącznie z kosztami utrzymania, książek itp. wydaje rocznie 1000 dol., co stanowi „prywatną" zachętę do pilnej pracy. Koszt studiów na studenta i rok wynosi przeciętnie 700 dol., z czego 200 daje uczelnia. Tak wysokie koszty zapewniają wysoki poziom profesorów i dostateczną ilość pomocy naukowych, przyrządów itp. (Dla porównania zaznaczymy, że na jednej z uczelni w Polsce koszt rocznego kształcenia studenta chemii wynosi około 600 zł, a więc 6 razy mniej, nawet bez uwzględniania różnicy w sile nabywczej pieniądza w Ameryce i u nas).

Podobnie przedstawiają się uposażenia profesorów, wahające się od 5 do 15.000 dol. docznie. Sławy takie jak Einstein pobierają znacznie więcej. Zauważymy, że w Ameryce nie ma docentów — odpowiadają im „profesorowie-asystenci". U nas profe-

---

(Dokończenie ze str. 5-ej)

władza centralna, zarzuca się program izolacji a zaczyna się naukę.

Nie bardzo wierzono w skutki, a jednak wystarczyło lat 30 aby móc pobić Chiny, a 40 aby zmóc Rosję. Dziś, po latach 70-u, Japonia jest najgroźniejsza wśród groźnych: jej flota i armia są czynnikami decydującymi w polityce dalekowschodniej; jej gospodarka zapewnia jedno z pierwszych miejsc w rodzinie wielko-kapitalistycznej.

Krok za krokiem posuwa się na Zachód. Etapy to: Korea, Mandżuria Południowa, Północna, Chiny Północne, Mongolia .., coraz dalej na zachód, coraz więcej przeciw Rosji.

Nie duet więc, lecz tercet bierze udział w tym niebezpiecznym programie.

sor zwyczajny, kierownik zakładu pobiera około 12.000 zł. rocznie, a jeden z docentów otrzymywał rocznie około *pięciuset* zł.

Asystenci w Ameryce pobierają około 800 zł. miesięcznie. Mniej więcej 2/5 magistrów jest „półasystentami" z wynagrodzeniem około 250 zł. miesięcznie. do czego należy doliczyć bezpłatne kształcenie się na doktorów, co odpowiada około 200 zł. razem 450 zł. mies. (pracują tylko pół dnia) resztę czasu mają dla siebie). U nas starszy asystent pobiera około 260 zł., młodszy 150 zł. i mają znacznie mniej czasu wolnego.

Po ukończeniu studiów zarobki wynoszą: bakałarza (po odbyciu płatnej praktyki) ok. 600 zł., doktora przeciętnie 1200—1300 zł. mies. Ogólna ilość politechnik i uniwersytetów wynosi w Ameryce 650. Ilość studentów — milion. Ponieważ ludność USA liczy 130.000.000 wypada na jedną uczelnię 200.000 mieszkańców, na jednego studenta — 130. Proporcjonalnie w Polsce powinniśmy mieć 200 wyższych uczelni i 300.000 studentów. I to jakich uczelni i jakich studentów! A ile mamy do odrobienia aby Polskę podciągnąć do poziomu światowego?

Nauka na utrzymaniu społeczeństwa

Uczelnie w Ameryce dzielą się na 4 grupy: stanowe (30), miejskie (ok. 10), sekciarskie i prywatne.

Uczelnie stanowe i miejskie są subsydiowane przez stany wzgl. miasta. Mają na celu pomaganie w kształceniu swoich mieszkańców, student z innego miejsca zamieszkania płaci pełne czesne. Uczelnie grup religijnych powoli przekształcają się na prywatne. Uczelnie czerpią środki materialne z nast. źródeł (poza czesnym): od wychowanków — z zapisów pośmiertnych, z dochodów z posiadłości (*Columbia Uniw.* ma ogromne posiadłości ziemskie, na których stoi... Nowy York, *Uniw. Texas* ma tereny ropodajne), z fundacji prywatnych, z subsydiów przemysłu (*Duke Uniw.*, najbogatszy po Columbii, jest zasilany przez tytoniarzy (co oni mają z uniwersytetów?!), stypendiów na zamówione prace badawcze, z fundacji ogólnych (*Rockefellera* i in.). Około 1000—1500 stypendiów dla doktorów na specjalne prace daje rząd, który czasem finansuje badania specjalne (np. jedna za mil. dol.!). Wreszcie wiele jest darowizn anonimowych. (Po śmierci Mr. Eastman'a właściciela f-my Kodak okazało się, że wydał on olbrzymie sumy na cele naukowe). Ale prace badawcze, prowadzone na wyższych uczelniach stanowią zaledwie część twórczości ogólnej. W r. 1901 f-ma *General Electric* otworzyła pierwsze własne laboratorium badawcze i dziś jest około 1600 zakładów, zatrudniających od kilku do tysiąca pracowników naukowych. Wartość własnych pracowni naukowych wielkiego przemysłu ujawniła się najdosadniej podczas kryzysu. Naukowcy umożliwili obniżenie kosztów produkcji i wygrali walkę konkurencyjną z innymi zakładami, dla których wobec skurczenia rynku zrobiło się za ciasno. W pracowniach naukowych wielkich zakładów są dwa rodzaje pracowników inżynierowie w ruchu i pracownicy-twórcy, którzy pracują bądź w dziedzinie czystej teorii, bądź (dwie trzecie) w zakresie przystosowania teorii do praktyki, polepszenia uproszczenia i potanienia produkcji. Langmuir (dyrektor naukowy *Gen. Electric*, laureat Nobla) mówi, że *10 razy więcej pracy jest w zastosowaniu teorii do produkcji, niż w tworzeniu czystej teorii.* Realizacja wymaga nadzwyczajnej precyzji w wyliczeniach. Koszt badań naukowych wynosi bardzo małą cząstkę ceny maszyn, opłaca się wydawać pieniądze na badania, gdyż dają one olbrzymie oszczędności w materiale. Ale do tej pracy nadają się tylko doskonali specjaliści! Prace czysto naukowe polegają na szukaniu nowych odkryć i wskazywaniu kierunku dla realizatorów. Są prace czysto teoretyczne, ale zwykle jest to pogłębianie wiedzy w dziedzinie, mogącej mieć znaczenie dla fabryki. Oczywiście ryzyko jest b. duże, gdyż ew. pozytywny rezultat badań może mieć znaczenie dla wiedzy uniwersalistycznej i fabryka korzyści nie osiągnie. Ale dziedzina czysto teoretyczna daje największe zyski i doskonale się opłaca. *Gen Elecrt. wydaje 1/3 pieniędzy przeznaczonych na badania naukowe na prace czysto teoretyczne*, resztę na stosowane. *Badania teoretyczne są podstawowym warunkiem postępu*, a Gen. El. nie czeka aż to zrobią inni...

Teoretycy dodają bodźca technikom, udzielając im rad, upraszczając przejścia między dziedzinami, podając odpowiednie teorie, a więc robią to, czego bez ich pomocy technicy nie mogliby wykonać. Mniejsze przedsiębiorstwa, których nie stać na własne pracownie, zamiawają prace w uniwersytetach lub w instytucje Mellona. Instytut ten, bodaj jedyny tego typu na świecie, został ufundowany przez braci Mellon kosztem 12 miln. dolarów, zatrudnia 1000 stałych pracowników i jest obecnie samowystarczalny pod względem finansowym. Ci stali pracownicy pomagają i kierują pracami właściwych badaczów-doktorów, którzy pracują jako stypendyści firm prywatnych i rozwiązują określone zagadnienia. Z dokonywanych badań składają oni co tydzień pisemne sprawozdanie dyrektorowi instytutu. Po wykonaniu pracy znajdują popłatne zatrudnienie jako specjaliści w fabryce, dla której rozwiązywali zagadnienie. (29)

(d. c. n.)

PALCEM PO MAPIE

Uwaga kół politycznych całego świata przykuta jest zasadniczo nadal do dwóch zaognionych punktów kuli ziemskiej, a mianowicie do Morza Śródziemnego i do Dalekiego Wschodu.

Jednak do choroby „chronicznej" wszelki organizm łatwiej się przyzwyczaja, aniżeli do nagłego zachorzenia. W dawnej Rosji całe narody, jak na przykład Czuwasze były chore na jaglicę i uważały to za stan normalny. Otóż wojna na Dalekim Wschodzie, wojna zasadniczo „domowa" chińska, ale stale ocierająca się o interesy mocarstw trwa z niewielkimi przerwami od r. 1916.

To też wysiłki mocarstw ześrodkowane są w Azji Wschodniej zasadniczo w kierunku utrzymania dotychczasowego stanu posiadania wobec „budzących się Azjatów", a poza tym polegają na skrzętnym wzajemnym pilnowaniu się, aby żadne z nich nie osiągnęło nadmiernych korzyści, czy to w wyniku walk wewnętrznych w Chinach, czy też w wyniku kuzynowskiej rywalizacji chińsko-japońskiej.

Dlatego to sytuacja międzynarodowa dokoła walk w Szanghaju i konfliktu angielsko-japońskiego na tle ostrzelania i zranienia ambasadora brytyjskiego w Chinach Hugessena przez japońskiego lotnika bynajmniej groźnie nie wygląda, pomimo niepokojących pozorów. Z górą 10 tysięcy kilometrów, dzielących Londyn od Szanghaju robi swoje, jako że odległość stanowi coprawda bardzo często „szkło powiększające" w sensie wyolbrzymiania niektórych zjawisk, ale niewątpliwie wpływa hamująco na wszelkiego rodzaju akcję bezpośrednią. Odkąd świat światem — nikt jeszcze nie został spoliczkowany przez telefon, lub drogą radiową...

Znacznie groźniej z punktu widzenia pokoju europejskiego wygląda sytuacja na Morzu Śródziemnym, które primo jest wąskie, secundo zamknięte z trzech stron cieśninami i kanałem Suezkim, zaś ponadto — może z wyjątkiem Skandynawii — nie ma państwa europejskiego, którebytam nie miało żywotnych interesów.

Tymczasem żegluga po Morzu Śródziemnym stała się ostatnio niebezpieczna nie tylko dla sowieckich transportowców, ale nawet dla brytyjskich okrętów wojennych. Krótko mówiąc w ciągu sierpnia zanotowano 18 wypadków zaatakowania różnych statków przez samoloty, łodzie podwodne itp. Ofiarą tych napadów padają zarówno okręty „faszystowskie", jak „antyfaszystowskie", jednak z pewną przewagą na „niekorzyść" tych ostatnich.

Zatopienie dwóch transportowców sowieckich spowodowało ponadto groźny zatarg pomiędzy Rzymem a Moskwą, utrzymującą z pewną dozą prawdopodobieństwa, ale bez żadnych zgoła formalnych dowodów, iż jest to dziełem włoskich łodzi podwodnych. Sowiety opierają swe oskarżenia na fakcie nieposiadania tego rodzaju broni przez gen. Franco, oraz na przypuszczeniach, może nie całkowicie pozbawionych logicznego uzasadnienia, iż łódź podwodna, zapuszczająca się aż w pobliże cieśniny Dardanelskiej powinna mieć swą bazę gdzieś w okolicach Sycylii. Ale dowieść tego nie można, zwłaszcza gdy się nie posiada odpowiednio potężnej floty wojennej.

Z drugiej strony, Sowiety są niewątpliwie zainteresowane w storpedowaniu konferencji śródziemnomorskiej, która ma odbyć się w przyszłym tygodniu w Genewie na marginesie obrad zgromadzenia Ligi, podobnie, jak były zainteresowane w uniemożliwieniu prac komitetu londyńskiego.

Rzym, oczywiście nie ma najmniejszego powodu ułatwienia Moskwie sytuacji, zwłaszcza że Mussolini oświadczył ostatnio na Sycylii, że „nie będzie tolerował na Morzu Śródziemnym ani bolszewizmu, ani niczego w tym rodzaju". Ponadto Włochy wiedzą doskonale, że Sowiety ani przez chwilę nie zamierzają skorzystać z przysługujących im na zasadzie konwencji w Montreux uprawnień, dotyczących absolutnej swobody korzystania z cieśnin dla ich okrętów wojennych, które w dzisiejszym stanie sowieckich zbrojeń morskich napewno nie zaryzykują opuszczenia Morza Czarnego.

To też protestacyjna nota sowiecka została przez Włochy odrzucona, na co Moskwa może reagować jedynie wiecowymi wrzaskami pod adresem „faszystowskich piratów".

Jeśli chodzi o Polskę, to, jak zwykle, unikamy jakiegokolwiek udziału w zatargach nie dotyczących nas bezpośrednio i pilnujemy wyłącznie naszych interesów.

Z posunięć polityki polskiej należy podkreślić zaproszenie polskiego ministra spraw zagranicznych do Paryża w przede dniu obrad Zgromadzenia Ligi, zapowiadających się dość burzliwie, choćby ze względu na figurujące na porządku dziennym zagadnienia hiszpańskie, abisyńskie, a może również i azjatyckie.

Za świetne posunięcie z tejże dziedziny należy uznać obecność szefów sztabów Finlandii, Estonii i Łotwy na tegorocznych manewrach w Wielkopolsce. Jest to rodzaj „dyplomacji żywej" — zasługujący na największe uznanie i jaknajszersze zastosowanie. (66)



MOJA PANI MOJA PANI...

TRZECH POLITYKÓW
ballada polska

Pan polityk do synów — nie kupujcie Zaczynu
to już było, z tego wszyscy sie śmieli
tylko my przecież dobrzy, tylko my przecież chrobrzy
lecz do rządów nas nie chcą przydzielić.

A mówiono w Warszawie że napewno już prawie
(przyjdzie płakać nam chyba ze wstydu)
Koc podobno jest Konem, pan minister masonem
jeśli księża są w Sejmie to z żydów.

Wyście dzielni i zdrowi, jedźcie służyć krajowi
niech poczciwe prowadzą was bogi
tego roku nie jadę lecz jadącym dam radę
krzyczeć głośno: Precz z rządem! i w nogi.

Więc niech pierwsze z mych dzieci rzeź żydowską roznieci
niechaj wszystkim jak sie bije pokaże
niech sie sławą upije i głów wiele rozbije
i tak zginie jak lew w Alkazarze.

A niech drugie porządnie do lewicy się wciągnie
i podburzy przeciw panom ulice
jak to piękne lud kochać, po więzieniach poszlochać
i mieć potem: „Tu się męczył" tablice.

A ty synu mój miły, pędź do walki co siły
i małego sie uchwyć fortelu
kiedy widzisz że wyją i kijami się biją
przywieź jakiś mi lepszy kapelusz.

Bo to jeszcze wam rzeknę, gdym był młodszym człowiekiem
biłem dzielnie sie laską i słowem
i gdy szkło już pękało mnie się jakoś udało
zdjąć z wystawy kapelusz na głowę.

Taką dawszy przestrogę, błogosławił na drogę
oni wsiedli na koń, kije wzieli
idzie jesień i zima synów nie ma i nie ma
Ojciec myślał że w kozie siedzieli.

Po śnieżystej zamieci do wsi z kijem mąż leci
mina dzielna z taką wraca nie wielu
pewnie wracasz już do mnie osławiony ogromnie
nie mój ojcze — ja ci wiozę kapelusz.

Po śnieżystej zamieci do wsi z kijem mąż leci
taki mężny jak jaki Otello —
Pewnieś zrobił fortunę — pewnie jesteś trybunem
nie mój ojcze — ja ci wiozę kapelusz.

Po śnieżystej zamieci do wsi z kijem mąż leci
— syn mój jedzie — powitać go muszę —
lecz nim zdobycz swą rzucił już się ojciec zasmucił
że za dużo o dwa kapelusze.

BAJKA O NADĘTEJ ŻABIE
w konserwatywnej odmianie)

Wśród powodzi 10-cio groszowych plotek, znalazła się i taka, że min. Poniatowski zgłosił swój akces do O. Z. N. Jak jest naprawdę: zgłosił czy nie zgłosił, nie wiemy.

Pogłoska dałe jednak okazję „Czasowi" do wystąpienia z notatką (dn. 7 b. m.), zatytułowaną: „Ministrowie Świętosławski i Poniatowski zgłosili akces do O. Z. N. Fałszywa gra czy niekonsekwencja?" W zakończeniu czytamy:

Jakim więc cudem p. Poniatowski zgłasza akces do obozu płk. Koca! Posunięcie to da się wytłómaczyć dwojako: albo niekonsekwencją p. Ministra Rolnictwa, albo fałszywą grą. Która z tych ewentualności zachodzi, na to pytanie w dniu dzisiejszym nie damy odpowiedzi. Natomiast interesuje nas pytanie inne. Jak się wobec akcesu p. Poniatowskiego zachowają władze O. Z. N. Wszak zgłoszenie przystąpienia do obozu płk. Koca, nie jest równoznaczne z przyjęciem.

Bronić min. Poniatowskiego nie będziemy, zrobi to sam (jeśli zechce) napewno lepiej. Nas interesuje ostatnie zdanie, ilustrujące niesłychaną megalomanię naszych nieskromnych konserwatystów. Ledwo się pogłoska ukazała, oni już sugerują O. Z. N-owi i przypominają, że zgłoszenie nie równa się przyjęciu, że pan minister mógł się zgłosić ale pana ministra nie należy przyjmować. Nieledwie, że krzyknęli wielkim głosem: „pan minister nie przyjęty"!

Puknijcie się panowie w swe nadęte móżdżki.

KILO ROZMAITOŚCI

„Jutro Pracy" zaszczyciło przedostatni numer „Zaczynu" taką wzmianką:

Pierwszy wiersz na pierwszej stronie bieżącego numeru „Zaczynu" brzmi: „pies gryzący marmur". Ostatni wiersz na ostatniej stronie — „pies panu mordę wylizał". Jednym słowem: numer pod psem.

Bardzo nas to ucieszyło. Żaden w tym paradoks, bo poprostu Szanowny Autor tego dowcipu czytał numer od deski do deski, a więc nie był ów numer taki zły (nikt Autora do czytania kijem nie napędzał). Albo może nie czytał wcale, poprzestając na pierwszym i ostatnim zdaniu. Znamy takich czytelników. Ale wtedy *opinia* była pod psem.

Tak czy inaczej — notatka była umieszczona we właściwej rubryce: „Kilo rozmaitości". Jak w sklepiku.

GŁOSY i ODGŁOSY...

MANEWRY JESIENNE:
W AUSTRII

Wielkie manewry austriackie zakończyły się trzeciego września wielką rewią, po której prezydent Miklas powiedział do żołnierzy, chwaląc ich postawę bojową:

„Daliście dowód nietylko zalet wojskowych, ale najczystszego austryjackiego ducha wojskowego. W ten sposób Austria ukazuje całemu światu, że posiada instrument defensywny, siłę zbrojną gotową bronić, wraz ze wszystkim ludźmi zdolnymi do noszenia broni, naszej ojczyzny i strzec jej przeciw każdemu, ktoby ją napadł. Nasz kraj stał się na skutek światowych przemian okolicą przyfrontową. Wola obrony ojczyzny jest wspólnym dobrem armii i ludności. Dlatego też dziękuję oficerom i żołnierzom, dziękuję jednocześnie ludności okolicznej, która dowiodła że jest głęboko przywiązana do armii naszej drogiej Austrii".

W TURCJI

Pierwszy raz od czasu wielkiej wojny przedstawiciele armii zagranicznych zostali zaproszeni na wielkie manewry. Trwały one od 18 do 22 sierpnia. Turcja chciała tym razem pokazać wielki wysiłek jakiego dokonała w dziedzinie obrony narodowej.

Armia Turecka jest niewątpliwie najsilniejszą z armii Bałkańskich. Wyznaje ona doktrynę wojenną niemiecką,ześrodkowującą cały wysiłek na ofenzywie. Korpus oficerski składa się z ludzi młodych, zapalonych, sprawiających wrażenie jakby zgłębili wszystkie czasopisma wojskowe niemieckie i francuskie. Wytrzymałość żołnierzy tureckich, specjalnie piechoty, dziś już przysłowiowa, i teraz ukazała się w całej pełni. Pod palącymi promieniami słońca Tracji, żołnierze manewrowali w pełnym uzbrojeniu po kilkanaście godzin dziennie, wykazując nadzwyczajne zżycie się z terenem i umiejętność wykorzystawania najmniejszej zasłony. Cechę tę podkreślił marszałek Fevzi Tchamak prowadzący manewry: piechota nie powinna nawet dać poznać, że istnieje, a w chwili natarcia musi wypłynąć jak gdyby ziemia się rozwarła, by jej dać przejście.

W NIEMCZECH

Po raz pierwszy w tym roku od czasu reorganizacji armii niemieckiej w wielkich manewrach jesiennych wezmą udział jednocześnie armia lądowa, flota wojenna i lotnictwo. W tygodniku Die Wehrmacht pułkownik Jost uzasadnia konieczność wypróbowania współpracy tych trzech broni i jedności dowództwa:

„Poco manewry całej armii? Dlatego, że nie wystarcza, by armia lądowa, marynarka i lotnictwo monewrowały każde dla siebie i dlatego że manewry wspólne tylko dwóch rodzajów, naprzykład armii lądowej i marynarki mają tylko ograniczoną wartość. Manewry całej armii są specjalne konieczne zważywszy istnienie i możliwości działania nowej broni, lotnictwa. A także dlatego, żą jest rzeczą ważną wypróbowanie jedynego dowództwa i współdziałania trzech sił na terenie operacyjnym wobec decydujących problemów wojennych. Dlatego też manewry jesienne 1937 roku będą prowadzone przez marszałka von Blomberga, ministra wojny, jako naczelnego wodza sił zbrojnych.

„Marszałek von Blomberg będzie miał pod swoimi rozkazami swój specjalny sztab. Nadto armia lądowa, marynarka i lotnictwo będą miały swe własne sztaby.

„W manewrach weźmie udział kilka dywizji armii lądowej, między innymi dywizje zmotoryzowane i oddziały pancerne, i silne formacje morskie i lotnicze."

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa 1, Al. Ujazdowskie 20 m. 7, tel. 7.11.97. Konto czekowe P. K. O. Nr. 25.544**
Numer pojedyńczy 30 gr. — prenumerata miesięczna 1 zł. — trzymiesięczna w kraju 2 zł. 50 gr. — zagranicą 4 zł. 50 gr.
Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Leon Borkowski**
Godziny przyjęć redakcji: 17 — 18 we wtorki, czwartki i soboty. Administracja czynna codziennie 9 — 17.

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10